

June

Nazywam się Julia...

Nazywam się Julia, mam 15 lat. Od dziecka mieszkam wraz z moją rodziną w Raciborowicach Górnych - malowniczej miejscowości położonej w powiecie bolesławieckim. Jestem bardzo mocno związana z moją babcią Marianną Bogacką, która była obecna w moim życiu od zawsze, wychowała mnie i moje rodzeństwo. Jeszcze do niedawna mieszkaliśmy w jednym domu, spędzałyśmy ze sobą całe dni. Szczególnie lubiłam wieczory z babcią przy herbatce i ciście jej roboty, podczas których opowiadała mi, jak wyglądało jej życie. Jedną z takich właśnie opowieści postanowiłam spisać, tworząc kartkę z pamiętnika Jej życia...

„Na Dolnym Śląsku pojawiliśmy się za sprawą twojego pradziadka. Daniela poznałam po wojnie, miałam wtedy nie więcej niż dziesięć lat. Jak się potem dowiedziałam, mieszkał w sąsiedztwie, nieopodal mojego rodzinnego Wróblewa. Przez pierwsze lata zupełnie nie zwracał na mnie uwagi, byłam dla niego dzieckiem. W końcu jaki starszak będzie zadawał się z trzy lata młodszą dziewczynką?! Jednak wszystko zmieniło się w 1952 roku, byłam wtedy szesnastolatką, od wielu lat potajemnie w nim zauroczoną. On sam nie dostrzegał mnie do wcześniej wspomnianego 1952 roku. W owym czasie mocno się zmieniłam, wyładniałam, przestałam się wstydzić – stałam się kobietą. Zaczął się do mnie zalecać, potajemnie podrzucał mi kwiaty, niejako stało się to tradycją. Kiedy codziennie rano otwierałam drzwi, na barierce werandy znajdowałam czerwonego goździka. Mimo, że dziadek odszedł, a my nie mieszkamy już w przywarszawskim Wróblewie, zwyczaj ten pozostał z nami. Każdego dnia zrywam jeden kwiat ze zbudowanej przez niego szklarni i pozostawiam go nieopodal, by nie zapomnieć. Wspólnych wspomnień jest więcej, jednym z nich są nasze kąpiele w tamtejszym dopływie Wisły. Powiem ci, że korzystaliśmy z młodości według upodobania.

Jednak to wszystko stanęło w ogniu, kiedy moi rodzice oświadczyli, że wychodzę za mąż. Prosiłam, groziłam, płakałam, ale nie pozwolili mi być z twoim dziadkiem. Twierdzili, że nie jest wystarczająco zamożny, by móc zapewnić mi byt. Powiedziałam mu o tym, wtedy też wpadł na (można by pomyśleć) irracjonalny pomysł - zaproponował ucieczkę. Bez namysłu zgodziłam się. Pod osłoną nocy, wymknęłam się z domu, zabrałam tylko trochę jedzenia, ubrania na zmianę i przede wszystkim wszystkie pieniądze jakie znalazłam w domu. Daniel już na mnie czekał, zabrał mnie na stację, gdzie wybraliśmy przypadkowy pociąg i ruszyliśmy w Polskę.

Dotarliśmy tutaj, na Dolny Śląsk, a dokładniej do Raciborowic Górnych, małej miejsciny złożonej z ogromu przybywających do niej wysiedleńców. Region wręcz opływał tradycjami,

a ubogacany zwyczajami nowoprzybyłych, tworzył naprawdę interesujące połączenie. Ja sama mam korzenie francuskie, twój pradziadek wywodził się z terenów dawnej Jugosławii, cała ta mieszanka dawała nam naprawdę wiele możliwości.

W tamtych latach Raciborowice były małym miasteczkiem z zaledwie kilkoma sklepami, ale byliśmy tu szczęśliwi. Okolica była piękna, wręcz roiło się tu od kwiatów, drzew i rzepakowych pól. Nawet my, mieszkający w „centrum”, mieliśmy kontakt z wszechobecną naturą. W naszym przydomowym ogródku hodowałam margaretki i wszelkiej maści inne rośliny. Jednak największa duma rozpieęła mnie, kiedy widziałam ogromny różany krzew, który rósł oparty o ścianę rodzinnego bloku. Mały lokal pod numerem 165A/2 stał się dla nas ostoją, domem, którego zawsze pragnęliśmy. Może nie najbogatszym, nie najpiękniejszym, ale naszym. Pełnym miłości i zrozumienia, bo to co najważniejsze jest we wnętrzu, a nie w marmurowych posadzkach czy połączonych tapetach.

Latem 1954 roku odetchnęliśmy z ulgą, skończyliśmy remont naszego mieszkania, i w końcu mogliśmy cieszyć się namiastką normalności. Jednak wbrew pozorom nic nie było normalne, piętno okradzenia rodziców nie dawało o sobie zapomnieć. Ciągle rozpamiętywałam cenę naszego marzenia, bolał mnie fakt, że to wszystko było okupione tak wysoką ceną. Liczyłam, że zrozumieci, wybaczyli, ale jaką mogłam mieć pewność?

W sierpniu tego samego roku, stanęliśmy na ślubnym kobiercu w Parafii pod wezwaniem Świętego Michała Archanioła w Raciborowicach. Już w pierwszym roku małżeństwa doczekaliśmy się syna, rola matki przynosiła mi niesamowite spełnienie. Razem z Wiesławem spacerowaliśmy po okolicznych lasach, jeździliśmy konno i zbieraliśmy grzyby. Sielanka trwała długo, tak długo, że odczuliśmy zdecydowany brak naszych własnych rodziców. Wspólnie z twoim dziadkiem postanowiliśmy napisać do nich list. Opisaliśmy tam sytuację, w której się znajdowaliśmy, „wyrzuciliśmy” wszystko, co siedziało w głębi nas. Niestety nie doczekaliśmy się odpowiedzi, przynajmniej nie tej pisemnej, bo po dwóch dniach przed naszymi drzwiami zjawili się moi rodzice. Bałam się, że będą oczekiwali wyjaśnień, ale ku mojemu zdziwieniu stwierdzili, że rozdrapywanie starych ran nie ma sensu. Oni też chcieli zacząć nowe życie.

Z tamtego okresu najlepiej wspominam nasze pierwsze święta. Boże Narodzenie zawsze budziło we mnie ogromne emocje. Kochałam przygotowania, ubieranie choinki czy projektowanie bożonarodzeniowej szopki, gotowanie też sprawiało mi nie lada radość. Na naszym stole gościły niecodzienne potrawy, mam na myśli *Bûche de Noël*, czy bałkańską faszerowaną paprykę. Moją ulubioną było wspomniane w pierwszej kolejności, ciasto w kształcie kłody, które zawsze według zwyczaju dzielono na dwanaście części, co symbolizowało uczniów Jezusa. Tradycji było mnóstwo - od sianka pod obrusem, po chowanie łuski karpia do portfela. Jak wiesz, zachowujemy je do dzisiaj, a każde kolejne święta wzbogacamy o nowe zwyczaje.

Życie w tamtych czasach nie było lekkie, nie rozpieszczało nas, ogólnodostępne były chyba tylko ziemniaki. Z resztą trzeba było sobie radzić samemu. Trudno było funkcjonować we dwójkę, co dopiero przy dzieciach. Nigdy nie wystarczało ubranek, a ja z matką nie nadążałyśmy z dzierganiem kolejnych. Praktycznie nikt nie kupował ubrań, wszystko robiło się własnymi dłońmi. Lecz mimo trudności, ludzie przywykli do takiego stanu rzeczy, pracowali, mieli dzieci, najczęściej minimum dwójkę. Zupełnie tak jak my, bo po trzech latach od porodu pierwszego dziecka, na świecie powitaliśmy małą Danutę - twoją mamę.

Bycie matką chłopca jest satysfakcjonujące, do czasu kiedy nie ma się córki. Uwielbiałam ją stroić, czesać, pleść wianki ze stokrotek, a ona sama często podkradała mi kolorowe chusty i udawała sąsiadkę – rodowitą Rosjankę. Opowiadałam jej legendy o „Skamieniałych dziewczętach” i „Czarnym Krzysztofie”, choć jej ulubiona historia wciąż i niezmiennie dotyczyła Świąt Wielkiej Nocy, a właściwie występujących w niej bocianów. Treść tej opowieści wryła mi się w pamięć tak bardzo, że chyba nigdy o niej nie zapomnę. Nie była ona długa, a zaczynała się tak: „Kiedy trzeciego dnia po ukrzyżowaniu sam Bóg pokonał śmierć, wszyscy chcieli, by ten cud znał całutki świat. Ludzie dwoili się i troili, by roznieść wieść, ale jak to zrobić, kiedy człowiek ani nie szybki, ani nie zwinny? Postanowiono zorganizować konkurs, do boju mógł stanąć każdy. To przyzwolenie wzięły sobie do serca okoliczne leśne żyjątka i nie myśląc wiele stawily się na warcie. Zawody miały polegać na zbiorze jajek. Ten, kto jako pierwszy uzbiera ich setkę, zdobędzie przywilej ogłoszenia nowiny całemu światu. Walka była zacięta, wszyscy walczyli dzielnie, ale najszybsze i najsprytniejsze okazały się bociany. Zabierając ze sobą kosze wypakowane po brzegi jajkami – symbolami nowego życia, leciały głosić tą niesamowitą historię. Nawet nie zauważyły, kiedy w drodze pogubiły większość zawartości. Spadające na ziemię jaja, by chronić się przed upadkiem, zamieniały się w czekoladowe wydmuszki, następnego dnia ciesząc wszystkie dziecięce brzuszki. I tak oto od wieków tradycja trwa i trwa i miejmy nadzieję, że trwać będzie jak najdłużej.”. Danka każdego dnia chciała słuchać jej od nowa, a kiedy nadchodziły wspomniane wcześniej Święta Wielkanocne, czatowała w ogródku wyczekując czerwononogich gości. Takich historii opowiadałam jej wiele i to właśnie one czyniły te ściany prawdziwym, ciepłym domem.

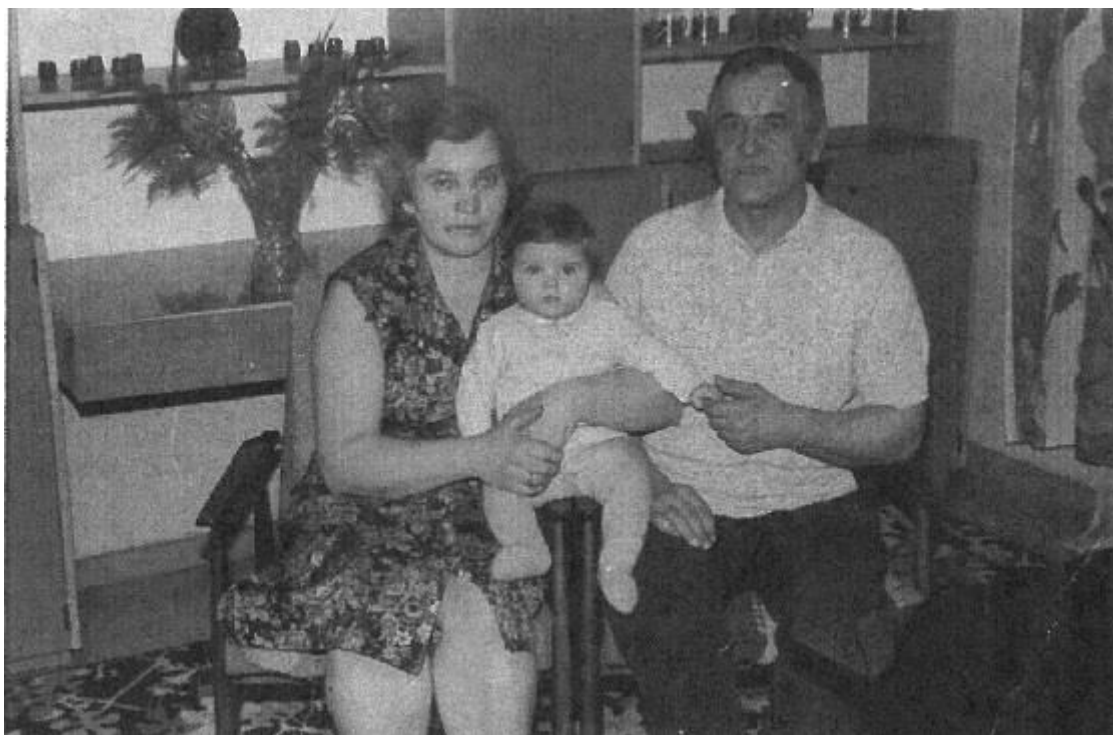
Dzisiaj moje życie wygląda inaczej, nie mam już tyle siły, by pielęgnować przydomowe goździki, by pleść stokrotkowe wianki, czy po prostu żyć. Przez lata wszystko się zmieniło, powstało wiele budynków, urodziło się wielu ludzi, wielu też umarło, a niektórzy, tak jak ja, zniedołężnieli. Ale ja nie żałuję ani jednej sekundy wszystkich tych lat, bo dzięki temu dzisiaj mogę śnić te wszystkie wspomnienia.”.



Fot. 1. Anastazja i Stefan Kopaczowie – rodzice Marianny Teresy Bogackiej



Fot. 2. Daniel Bogacki – mąż Marianny Teresy Bogackiej podczas pikniku



Fot. 3. Marianna Bogacka z mężem Danielem i wnuczką Agnieszką



Fot. 4. Marianna Bogacka z wnuczką Agnieszką i prawnuczką Julią – autorką niniejszego tekstu



Fot. 5. Uroczystość rodzinna – Marianna i Daniel Bogaccy (pierwsi z prawej) podczas uroczystości rodzinnej w świetlicy wiejskiej w Raciborowicach Górnych



Fot. 6. Córka Marianny Bogackiej – Danuta. Mikołajki w domu Babci Marianny